

Dwukrotny
zdobywca
NAGRODY
PULITZERA

**COLSON
WHITEHEAD**
♦ **REGUŁY** ♦
GRY

PRZEKŁAD
ROBERT SUDÓŁ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
CROOK MANIFESTO

Copyright © Colson Whitehead 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Robert Sudół 2023

Redakcja: Joanna Kumaszczyńska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Oliver Munday

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: © Andrey Moiseyev/Alamy Stock Photo (*samochód*);

© Lambert/Getty Images (*kobieta*); Getty Images (*walizeczka*);

Getty Images (*budynki na Harlemie*);

©Dan Neville/Newsday RM via Getty Images (*panorama Manhattanu*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



I

Odtąd gdy tylko słyszał tę piosenkę, myślał o śmierci Munsona. W końcu to za sprawą The Jackson 5 Ray Carney wrócił do gry po czterech latach spędzonych na wąskiej prostej. „Wąska prosta” – określenie filozofii i terytorium, części miasta z granicami i własnym obyczajem. Czasem, kiedy Carney w drodze do pracy przecinał Siódmą Aleję, mamrotał te słowa pod nosem jak ochlapus usiłujący nie zataczać się po wyjściu z baru.

Cztery lata uczciwej i satysfakcjonującej pracy w branży meblowej. Wyposażał młode pary na nowym etapie życia, modernizował salony, podnosząc ich standard, instruował emerytów w sprawie najrozmaitszych zalet supernowoczesnych łóżek i rozkładanych foteli. To była wielka odpowiedzialność. W zeszłym tygodniu jedna z klientek powiedziała mu, że jej ojciec odszedł we śnie „z uśmiechem na twarzy”, bo był wtulony w fotel Sterling Dreamer, zakupiony właśnie w Carney’s Furniture. Przepracował trzydzieści pięć lat jako

hydraulik zatrudniony przez miasto, dodała. Dzięki piance poliuretanowej jego przedśmiertnym przeżyciem była czuła pieszczota. Carney ucieszył się, że staruszek umarł zadowolony; przecież byłoby tragedią, gdyby na koniec pomyślał: „Zamiast poliuretanu trzeba było wziąć zwykły skaj”. Handlował akcesoriami. Akcentami dla pozbawionych życia przestrzeni. Brzmi nudno. I takie było. Ale było też budujące. Budujące w sposób, w jaki niedoprawione jedzenie i wodniste drinki wciąż okazują się pożywne, choć może mało smaczne.

Nie było przyjęcia pożegnalnego, kiedy wypisał się z półświatka. Nikt nie dał mu złotego zegarka za wysługę lat, ale przecież odkąd został paserem, nie narzekał na ich brak. W dniu odejścia miał w biurowym sejfie całe pudło złotych zegarków z wygrawerowanymi nazwiskami obcych ludzi, bo minęło już trochę czasu od jego ostatniej wizyty u odbiorcy w Mott Haven. Rozbrat z paserstwem polegał głównie na splewianiu dotychczasowych klientów i mówieniu im, by rozpowiedzieli, że „Carney się wycofał”.

– Co znaczy, że się wycofałeś?

– Że dałem sobie spokój. Skończyłem z tym.

Drzwi wychodzące na Morningside, wykute w ścianie, by ułatwić nocny handel, teraz stały się niewinną trasą popołudniowych dostaw. Dwa tygodnie po napadzie na Fortunę zapukał do tych drzwi Tommy Shush z czarnym skórzanym neseserem wetkniętym pod pachę. Carney rzucił okiem na brylanty, żeby przetestować determinację złodzieja, po czym życzył mu powodzenia. Następnego

dnia Cubby Robal, jeden ze stałych białych klientów, pojawił się po godzinach z „naprawdę gorącym towarem”. Specjalizował się w nieprawdopodobnych kradzieżach rozmaitych dóbr, których upłynnienie wymagało lat – siedział po uszy w chińskich drążkach pogo i rajstopach zapakowanych w plastikowe jajka. Carney pokazał mu drzwi, zanim Cubby zdążył zaprezentować najnowszy nietrafiony łup. Nic osobistego, chłopie.

Jeden po drugim złodzieje przestali przychodzić – zniechęceni tylko chwilowo, bo zawsze znalazł się inny paser, inny obieg, inny interes do zrobienia na rynku tak rozległym, skomplikowanym i szemranym jak Nowy Jork.

*

– Proszę dotknąć, przecież nie ugryzie. To jakby samo niebo wzięło pana w objęcia.

Po lewej stronie salonu meblowego Larry urabiał klienta, zasuszonego osobnika mnącego w dłoniach czerwony beret. Więdącego zgarbionego staruszka. Carney oparł się o drzwi do swojego gabinetu i skrzyżował ręce na piersi. Istotną podgrupę jego klienteli stanowili starzy ludzie, którzy od niepamiętnych czasów odmawiali sobie najzwyczajszych rzeczy, żeby tylko zaoszczędzić trochę grosza. Skrzypiące sprężyny fotela przedziurawiły siedzenie zbyt wielu par spodni albo lekarz zdiagnozował złe krążenie i zwyrodnienie kręgosłupa, dlatego w końcu przychodzili. Carney myślał o nich z wdzięcznością, o samotnych staruszkach w mieszkaniach z przechodniami

pokojami i wypaczoną podłogą lub w słabo oświetlonych norach: emerytowani kierowcy autobusów szukający nowych foteli, w których mogliby jeść zupę przy typowaniu gonitw, dawni kasjerzy piorący bieliznę w pralniach samoobsługowych, tęskniący za czymś, na czym mogliby oprzeć zmęczone nogi. Zapomniani. Nigdy się nie targowali, wkurzeni wprawdzie, że muszą naruszyć zaskórniaki, a jednak dumni z tego, że mają gotówkę w kieszeni.

Meblem, o którym mowa, był fotel klubowy Egon z 1971 roku, z tapicerką z plamoodpornego tweedu. Zdrój komfortu na mosiężnych kołach z mechanizmem Pro-Slide.

– Samo niebo – powtórzył Larry.

Kiedy klient wszedł do sklepu, uściśnął Larry'emu dłoń i przedstawił się jako Charlie Foster. Teraz zabębnił opuszkami palców po zielono-brązowej tkaninie i zachichotał z zachwytu jak małe dziecko.

Larry mrugnął do Carneya. Kiedy Rusty, długoletni pracownik salonu, nadwreżył sobie plecy i dostał zwolnienie na trzy i pół miesiąca, Carney musiał znaleźć zastępstwo. Larry pojawił się drugiego dnia rozmów kwalifikacyjnych i został przyjęty.

Był uosobieniem kontrolowanego luzu – czysty styl powoli odkrywany. Kiedy próbujesz się z nim przywitać, gdy zjawia się w pracy, podnosi dwa palce w geście „chwila moment”, jakby był w trakcie rozmowy transatlantyckiej z przywódcami obcych mocarstw, następnie zrzuca kamizelkę w prążki, spodnie dzwony i zamszowy kapelusz

z małym opadającym rondem czy inny modny zestaw, w który wystroił się danego dnia, i dopiero po włożeniu uniformu sprzedawcy odpowiada aksamitnym głosem: „Co u ciebie słyhać, złotko?”.

Należał do plemienia czarnych wyjadaczy tak zwinnych w swojej cielesnej powłóce, że wszyscy inni byli dla niego „złotkiem” – staruszek, młoda matka, dzielnicowy o twarzy czerwonej jak burak. Pierwszy lepszy drętws określiłby go słowem „śliski” ze względu na zawadiacki uśmiech i gorączkową paplaninę, ale Larry uznałby to za komplement. „Śliskość” to atut w branży handlowej. Larry miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, lecz przeżył wiele wcieleń, nawet jeśli Carney podejrzewał, że wynurzył się w pełni opierzony jako pierwszy luzak Harlemu pięć minut przed tym, jak się poznali. Kucharz w hotelu przy Madison Avenue, konserwator zieleni na dwóch cementarzach, szofer żony potentata od marmuru z Connecticut plus „zagazowywanie piesków u weterynarza w Gotham”, co, jak przypuszczał Carney, wymagało specjalistycznego szkolenia lub przynajmniej licencji, ale nieważne. A teraz główny sprzedawca w Carney’s Furniture przy Sto Dwudziestej Piątej, PIERWSZORZĘDNE MEBLE DLA MIESZKAŃCÓW.

– Chrzani nadgodziny, bo chodzi na dziewczyny – lubiała nucić Marie, sekretarka Carneya, kradnąc przyśpiewkę z *The Patty Duke Show*.

Podobnie jak Freddie, zmarły kuzyn Carneya, za swoje tereny łowieckie Larry uważał downtown oraz okoliczne

dzielnice i każdy południk przyjemności między nimi. Słuchanie kronik Larry'ego o życiu nocnym Nowego Jorku i jego różnorodnych odmianach było jak słuchanie raportów Freddiego „dzień po” za starych, dobrych czasów. To podnosiło Carneya na duchu.

Zatrzymał Larry'ego w sklepie, gdy Rusty doszedł do siebie. Po pierwsze, roboty było aż nadto, po drugie, dzięki temu Carney miał więcej wolnego czasu. Można było odnieść wrażenie, że salon meblowy zawsze należał do tej czwórki. Nawet gdy Larry był wczorajszy i skacowany, nigdy nie pozwolił, by klient zobaczył go w złej formie. „Zachowaj swoje sekrety dla siebie” – to była niepisana dewiza pracowników Carney's Furniture. Marie przychodziła czasem w okularach przeciwsłonecznych, żeby zamaskować podbite oko, ale nigdy nie doniosła na męża, Rodneya. Carney rzecz jasna znakomicie potrafił ukryć swoją szemraną przeszłość. Tylko Rusty był tym, na kogo wyglądał: sympatycznym gościem przeflancowanym z Georgii, który pomimo upływu lat wciąż czuł się oszołomiony wielkomięskim życiem. O ile Carney się orientował. Bo może się nie orientował. Może Rusty był najbardziej utalentowanym pozorantem z nich wszystkich i po dniu pracy w salonie meblowym przeprowadzał operacje na otwartym sercu lub zwalczał organizację WIDMO.

Morningside Avenue przejechało kolejne auto na sygnale.

– Zrobiony solidnie? – spytał Charlie Foster. – Lubię

solidne fotele. – Szturchnął lewy podłokietnik, jakby czubkiem buta kopał szczura, by się upewnić, że jest martwy.

– Solidnie jak pancernik USS *Missouri*, złotko – zapewnił go Larry. – Zwykle jak się kupuje tanio, to się kupuje tandetę, prawda? Natomiast firma Egon miło wycenia te cudenka, bo dzięki temu zyskuje lojalnych klientów, więc odbija sobie niski zysk na sprzedaży. My też tak prowadzimy interesy. Usiądź sobie, bracie, usiądź.

Charlie Foster usiadł. Wydawało się, że złączył się z fotelem w jedno. Z jego twarzy uleciały lata zmartwień.

To się nazywa handel! Carney wrócił do swojego gabinetu. W kwietniu kupił nowy fotel biurowy, a w zeszłe Boże Narodzenie pomalował ściany, lecz poza tym gabinet niewiele się zmienił przez lata. Dyplom ukończenia szkoły biznesu wisiał na tym samym gwoździu, zdjęcie Leny Horne z jej autografem nadal stało na poczesnym miejscu. Interes szedł dobrze. Dzięki paserstwu kupił z żoną dom na Strivers' Row, żeby uciec z ciasnego mieszkania przy Sto Dwudziestej Siódmej. Rozbudował sklep, przejmując piekarnię po sąsiedzku, i przetrwał wiele trudnych chwil. Ale nabycie numeru 381 i 383 przy Zachodniej Sto Dwudziestej Piątej? Kupił te dwa budynki od Giulia Bongiovanniego w pierwszym tygodniu stycznia 1970 roku. Nowa dekada, pełna obietnic.

Gdybyś podczas podpisywania umowy najmu powiedział Carneyowi, że pewnego dnia stanie się właścicielem tych nieruchomości, kazałby ci spadać. Nieco dalej przy

tej samej ulicy w hotelu Theresa właśnie miał premierę musical *Czarna Carmen* i gdy Carney po raz pierwszy wziął klucze do ręki, odniósł wrażenie, że wszystkie jupitery i cała ta wrzawa są na jego cześć. Nieruchomość nie była zbyt atrakcyjna, ale mogła zapewnić człowiekowi dostatnie życie. Przez pierwsze dwa lata zanosił osobiście pieniądze z czynszu do firmy Salerno Properties Inc. przy Piątej Alei, bo nie ufał amerykańskiej poczcie – jakby następnego dnia minuta po dwunastej w południe policjanci mieli wtargnąć i wyrzucić jego graty na ulicę. Odnosił mgliste wrażenie, że taki nalot minuta po dwunastej przydarzył się komuś, kogo znał on lub jego ojciec, ale teraz, gdy już się ustatkował jako mężczyzna w średnim wieku, uznał, że jest to zwykła bujda. Najprawdopodobniej.

Właściciela poznał, kiedy zadzwonił do Salerno w sprawie przejęcia piekarni. Jeden z miłośników ciepłych bułeczek zaniepokoił się, że pięć po siódmej rano drzwi wciąż są zamknięte, po czym zauważył nogi wystające zza lady. Z szacunku dla zmarłego Carney odczekał czterdzieści pięć minut i dopiero wtedy zadzwonił, by zapytać o wynajem.

Kontakty z najemcami Giulio Bongiovanni zlecał zwykle podwładnym, ale Carney od dawna go intrygował. Lokal numer 383 przy Zachodniej Sto Dwudziestej Piątej był miejscem przekłętym, zanim jeszcze Bongiovanni przejął nieruchomość po ojcu. Mieszczące się tam dwa sklepy meblowe, dwa obuwnicze, jeden z konfekcją męską i coś jeszcze szybko splajtowały, a pech prześladował

ich właścicieli nawet po wyprowadzce. Nowotwory, o których nikt nigdy nie słyszał, wyniszczały narządy, o których też nikt nigdy nie słyszał, a do tego rozwody, o których mówiono potem na zajęciach z prawa cywilnego, oraz wyroki pozbawienia wolności. I jeszcze człowiek zmiądzony przez jakiś duży przedmiot przed klasztorem żeńskim.

– Zrobiło się tak źle, że bałem się wynajmować ludziom te lokale – powiedział Bongiovanni.

– Ja sobie radzę – odrzekł Carney.

Właściciel zmierzył go spojrzeniem mówiącym „Nigdy dotąd nie spotkałem takiego Murzyna”, co dla Carneya nie było nowym doświadczeniem. Przeciwnie, miał wrażenie, że w dzisiejszych czasach takie spojrzenia widuje częściej, i to wszędzie. Za ladą w knajpie, w lokalu wyborczym. „Za chwilę czarni zaczną z powodzeniem handlować meblami na Harlemie”.

– I to nieźle – rzucił Bongiovanni, po czym dał zgodę na przebicie się przez ścianę do piekarni.

Początki Giulia Bongiovanniego na Sto Dziesiątej Ulicy sięgały daleko w przeszłość, do czasów, gdy Wschodni Harlem był największą Małą Italią po tej stronie Atlantyku. Bongiovanni mówił jak facet z okolicy, ale wyróżniał się obcistymi poliestrowymi koszulkami i sylwetką adonisa z siłowni. Pytany o swoją samodyscyplinę, przypisywał ją pozytywnemu myśleniu, Jackowi LaLanne'owi, którego program oglądał codziennie, oraz comiesięcznym dostawom witamin. „Nie przekreślajcie ekspanderów

LaLanne'a – mawiał, skręcając tułów o czterdzieści pięć stopni. – Są nie tylko dla pań, jak widać na załączonym obrazku”.

Jego dziadek prowadził dwa sklepy spożywcze przy Madison Avenue, a ojciec zainwestował w kupno lokali 381 i 383 przy Zachodniej Sto Dwudziestej Piątej, kiedy Żydzi uciekli z dzielnicy z powodu dokonujących się zmian. Rodzinne sklepy spożywcze nadal prosperowały, ale rodzina Bongiovannich nie mieszkała już na piętrze. Wynieśli się najpierw, po drugiej wojnie światowej, do Astorii w Queens, a teraz opuszczali Harlem na dobre, sprzedając nieruchomości.

– Miasto schodzi na psy – stwierdził Giulio, gdy Carney zaproponował mu interes. – Narkotyki, syf. Wybieram Florydę.

Carneyowi pochlebiło, że w opinii Włocha ma dość szmalu, by kupić dwa budynki, że biała strona miasta dostrzeża jego sukcesy, ale zaraz potem zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak i Bongiovanni wciska mu trefny towar. Że miasto chce wyburzać, że w kanałach pod fundamentami czai się jakaś gigantyczna katastrofa albo ostatecznie spełni się do końca Kłątwa Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i Morningside Avenue szlag trafi. Nic z tego się nie wydarzyło, chociaż pani Hernandez z mieszkania 3R pod numerem 381 miała tajemniczą plamę na ścianie w łazience. Plama wybijała za każdym razem po tynkowaniu i malowaniu, w dodatku niesamowicie przypominała twarz Dwighta Eisenhowera – skoro już mowa o kłątwach, ta była

prawdziwa.

– On się na mnie gapi – skarżyła się lokatorka.

Bongiovanni spytał Carneya, czy jest gotowy zostać właścicielem budynków.

– Ludzie dzwonią do ciebie przez całą dobę, „bo woda jest za zimna”, „ogrzewanie za słabe” albo „żona mnie nienawidzi”.

– Tak – odparł Carney. Zamierzał upaść się na skargach i żalach lokatorów, jakby były wielkim krwistym stekiem z ziemniakami.

– Zuch.

Zawarli umowę na dwa budynki, a trzy miesiące później Bongiovanni podczas wczesnoporannej kalisteniki w Miami wyzionął ducha – tętniak go załatwił. Rodzina sprowadziła nieboszczyka do domu i pochowała go u boku przodków na cmentarzu Calvary w Woodside w Queens, z widokiem na drogę ekspresową.

„Karuzela”. Tym słowem Carney określał obieg dóbr w nielegalnej strefie, krążenie telewizorów, biżuterii i tosterów od jednego właściciela do drugiego, snujących się po ludzkim życiu w rytm przyływów i odpływów gotówki, wzrostów i spadków przestępczości. Ale oczywiście „karuzela” determinowała również świat nieszemrany, upamiętniała życie dzielnic, firm. Przepływał sklepikarzy przez budynek numer 383 przy Zachodniej Sto Dwudziestej Piątej, zmieniające się nazwiska na aktach własności w archiwum miejskim, menuet marek na parkiecie salonu meblowego.

W ciągu czterech lat od wycofania się Carneya z półświatka jego legalny handel przeszedł przeobrażenie. W 1968 roku Argent, największy dostawca – marka, na której zbudował interes – został przejęty przez Sterlinga, a ten dwa lata później wygasił działalność. Sears połknął Bella Fontaine i miał swoje salony meblowe. Collins-Hathaway przeholował z ekspansją w Kanadzie i podczas recesji w poprzednim roku został zmieciony z powierzchni ziemi. Na pamiątkę Carney zachował nad biurkiem tabliczkę autoryzowanego przedstawiciela.

Aby zastąpić dziurę na liście dostawców, zgłosił się do DeMarco, amerykańskiej filii wielkiego norweskiego koncernu Knut-Bjellen, specjalizującego się w niskich pudełkowych „komponentach lifestylowych”. Paleta kolorów: odcienie ziemi. Z badań rynku wynikało, że amerykański konsument jest podejrzliwy wobec „obco” brzmiących nazw produktów wyposażenia wnętrz, więc DeMarco zmienił je na potrzeby tutejszego rynku; modułowy zestaw wypoczynkowy nazwano Homesteader, a fotel – Mitt. Towar znajdował nabywców, więc Carney nie dbał o nazwy.

Jego jedyne zastrzeżenie dotyczyło zdjęć w folderach i katalogach DeMarco, bo sesje robiono w odległych ośrodkach narciarskich i górskich ostępach. Ogień buzujący w kominku, dokoła aranżacja z „komponentów lifestylowych” w kolorze rdzy i musztardy, białe damulki w futrzanych mufkach i biali faceci w wełnianych golfach, drzemiący w beztróskim błogostanie na miękkich

dywanach. Carney nie chciał szufladkować klientów, ale zastanawiał się, ilu z nich widzi w tych zdjęciach siebie.

– Witamy w górskiej chacie – mrucał pod nosem, ilekroć dostawał najnowszy katalog.

Mam nadzieję, że wasze czarnuchy lubią fondue, dodawał jego zmarły kuzyn z przeszłości.

Kolejna syrena. Biznes, uporządkowany biznes, rozwijał się w murach Carney's Furniture, ale na ulicy obowiązywały zasady Harlemu: szalone, nieprzewidywalne, nieobliczalne bardziej niż wujek utracjusz. Wozy na sygnale mknęły ulicami w tę i we w tę regularnie jak pociągi metra, o wszystkich porach, zgodnie z rozkładem jazdy Katastrofy. Jeśli nie gliniarze na straceńczej misji, to karetka pogotowia usiłująca odwrócić czyjś los. Wóz strażacki pędzący do pustej kamienicy, zanim pożar ogarnie całe osiedle, albo do pięciopiętrowego budynku z kilkunastoma rodzinami w środku, podpalonego, żeby wyłudzić odszkodowanie z ubezpieczalni.

Ojciec Carneya sfajczył w swoim czasie parę budynków. Dzięki temu opłacał czynsz.

Tym razem była to syrena radiowozu. Carney dołączył do Larry'ego i Charliego Fostera przy oknie. Po drugiej stronie ulicy dwóch białych policjantów dorwało młodego mężczyznę w ciemnej dżinsowej kurtce i czerwonych dzwonach, a radiowóz blokował chodnik. Przyparli go do okna trafiki Hutchins Tobacco, znanej ze sprzedawania papierosów bez akcyzy i problemów z robactwem. Lep na muchy wisiał tam przez okrągły rok – nie miał żadnych

wolnych dni – a tabliczki czekolady na półce ze słodyczami były całe w larwach. Hutchins zamknął drzwi na klucz i z rękami na biodrach gapił się zza szyby.

Strumień pieszych na Sto Dwudziestej Piątej omijał przeszkodę. Większość ludzi szła dalej, bo nie widziała nic szczególnego w takim kipsiszu. Jeśli nie byłoby go tutaj, byłby gdzieś indziej. Ale innych te szykany doprowadziły do białej gorączki, oderwały od własnych spraw. Zatrzymywali się, mruzcili do siebie nawzajem, krzyczeli i wyzywali policjantów; utrzymywali jednak bezpieczną odległość, co świadczyło o strachu. Wyższy gliniarz rozchylił młodemu mężczyźnie nogi i obmacał mu uda od wewnątrz.

– Co ty, pieścisz mu klejnoty?! – ryknął jeden z gapiów.

– Co ten chłopak zrobił? – spytał Carney.

– Nic, podjechali i go dopadli, jakby obrabował bank – odparł Larry.

– Odbija im – dorzucił Charlie Foster. – Szukają Czarnych Panter.

– Raczej chodzi o Armię Wyzwolenia Czarnych – sprostował Larry.

– To jedno i to samo.

Carney nie chciał się kłócić, zwłaszcza gdy ryba chwyciła haczyk, ale konflikt między Panterami a ich odłamek, Armią Wyzwolenia, dotyczył czegoś więcej niż nazwy. Spór filozoficzny obejmował nastroje ulicy, postawę organów ścigania wobec Harlemu i te radiowozy na sygnale. Jeśli zrobiliby się krok do tyłu i spojrzęło, może okazałoby się, że obejmuje wszystko.

*

– Reformy kontra rewolucja – tłumaczył Carney Johnowi.

Dwa i pół tygodnia wcześniej, dwunastego maja, zapadł wyrok w procesie dwudziestu jeden członków Czarnych Panter i syn miał pytania.

– To tak jak w moim sklepie – wyjaśniał dalej Carney. – Reformy to zmiana na lepsze tego, co jest, jak plamoodporną tapicerka lub nogi na kółkach, a potem nogi na kółkach z hamulcami. Rewolucja jest wtedy, gdy wyrzucasz wszystko i zaczynasz od nowa. Znasz kanapę Castro Convertible?

John kiwnął głową. Reklamy telewizyjne trudno było przeoczyć.

– Rozkładana kanapa to rewolucja – stwierdził Carney. – Wszystkie nasze wyobrażenia o spaniu, o przestrzeni zostają postawione na głowie. Pokój dzienny? Bum, i już mamy sypialnię. – Zamilkł. – Założę się, że nie wiesz, że wynalazcą rozkładanego łóżka był czarny.

Chłopiec pokręcił głową.

– Leonard C. Bailey, przedsiębiorca i majsterkowicz. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym złożył patent i amerykańskie wojsko wprowadziło go do masowej produkcji. Możesz to sprawdzić. Rewolucyjne rozwiązanie.

Carney wkroczył już na ten etap życia czarnego człowieka, kiedy w niektóre dni jedynym, co mogło wyciągnąć go rano z łóżka, była perspektywa opowiadania anegdot o pionierach i odtrąconych wizjonerach swojej

rasy. John, szczególnie zainteresowany, skinął głową. Carney podkreślił tempo.

– Pantery otwierają jadłodajnie i magazyny z żywnością, mają program darmowych śniadań i udzielają pomocy prawnej. To są reformy. Armia Wyzwolenia chce obalić cały system.

– Jeśli Pantery są za reformami, to dlaczego próbowały wysadzić metro?

– To, że policja mówi, że coś się wydarzyło, nie znaczy jeszcze, że naprawdę tak było.

Tego popołudnia najdłuższy i najdroższy proces w dziejach Nowego Jorku zakończył się zaskakującym uniewinnieniem. Dwudziestu jeden członków Panter aresztowano dwa lata wcześniej; zostali namierzeni przez tajniaków, którzy przeniknęli do organizacji. Postawiono im sto pięćdziesiąt sześć zarzutów: usiłowania popełnienia zabójstwa, podpalenia i innych czynów w ramach zмовы mającej na celu wysadzenie Ogrodu Botanicznego na Bronxie, posterunków policji, kilku linii metra, a także Alexander's, Korvettes, Macy's i innych domów towarowych. Sklepy obrano za cel prawdopodobnie dlatego, że uosabiały kapitalizm, ale co zawiniły kwiaty, nie było jasne.

John zapytał, czy wysadzą też ich salon meblowy. Carney odparł, że zostało do wysadzenia jeszcze wiele sklepów prowadzonych przez białych, zanim przyjdzie kolej na niego.

Ława przysięgłych potrzebowała półtorej godziny na

podjęcie decyzji i dwudziestu minut na odczytanie sto pięćdziesiąt sześć razy słowa „niewinni”. „Agenci policji wysłali wszystko z palca”. Upokarzający obrót spraw dla Franka Hogana, prokuratora z Manhattanu. Co to za świat, w którym nie da się wsadzić bandy Murzynów za kraty?

– Dlaczego policjanci mieliby kłamać? – spytał John.

– A dlaczego ludzie w ogóle kłamią? – odparł Carney, bo odpowiedzi na niektóre pytania chłopak powinien wykombinować sam.

Próbował wyobrazić sobie, że w dzieciństwie wypytuje ojca o politykę. Nie do pomyślenia. Duży Mike Carney uznawał ruch walczący o równouprawnienie – „tych tak zwanych braci sprawiedliwych” – za jeszcze jedno oszustwo. Ile zgarniali dla siebie, gdy wyciągali rękę po datki na kuchnię dla ubogich, ile zarabiali górką, gdy przecinali wstęgę podczas otwarcia nowego ośrodka sportowego? Rozkręć interes, a zobaczysz to wszędzie: możliwości, małe szczeliny, w które przedsiębiorcza dusza może wsunąć łom.

Jak na czarnego chłopca dorastającego na Manhattanie John miał inspirująco naiwny światopogląd. Walka o przetrwanie zmusza do szybkiego myślenia, tymczasem on poświęcał sporo czasu na ogląd sprawy z każdej perspektywy, uznając luksus namysłu za swoje przyrodzone prawo. Czasami Carney widział w synu wersję chłopca, którym sam mógłby być, gdyby dorastał w innym mieszkaniu, takim, gdzie w szafce byłoby jedzenie, kiedy wracałby ze szkoły, gdzie witałaby go matka, bo nie

umarła. Z nieszemranym ojcem. Carneyowi podobała się myśl, że gdzieś istnieje wersja tego chłopca, nawet jeśli on nią nie był.

May poszła w ślady matki. Ostra, pewna siebie, zadziorna piętnastolatka. Tydzień po procesie Panter Carney i dzieci usiedli do śniadania w jadalni. Chciał być sumiennym rodzicem, zrezygnował więc z rytualnego picia porannej kawy w Chock Full o’Nuts i spędzał czas z Johnem i May przed ich wyjściem do szkoły.

May postukała w gazetę.

– To są niezłe kolesie – powiedziała.

Carney wziął „Timesa”. Ktoś przyznał się do ostrzelania w środę wieczorem policjantów. Dwaj funkcjonariusze pilnujący mieszkania prokuratora Franka Hogana byli w stanie krytycznym, poszatkowani z broni maszynowej przez „dwóch młodych czarnych mężczyzn” w rozpędzonym samochodzie. Hogan miał ochronę od zeszłego lata, kiedy to podpalono dom Johna Murtagha. Kim był John Murtagh? Sędzią w procesie dwudziestu jeden członków Czarnych Panter.

Zeszłej nocy zamachowcy podrzucili paczki pod budynek „New York Timesa” i pod radiostację WLIB w hotelu Theresa, przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, niedaleko sklepu. W każdej paczce znajdowały się pocisk z karabinu maszynowego kalibru .45, tablica rejestracyjna z samochodu zidentyfikowanego podczas napadu oraz list:

19 maja 1971 r.

Cała władza dla ludu.

Oto tablice rejestracyjne poszukiwane przez faszystowską świńską policję stanową. Wysyłamy je, aby pokazać potencjalną siłę uciskanych ludów na drodze rewolucji dążących do sprawiedliwości.

Uzbrojeni pachołkowie tego rasistowskiego rządu znów spotkają się z naszym odwetem i oporem uciskanych ludów trzeciego świata, dopóki będą okupować naszą społeczność i mordować naszych braci i siostry w imię amerykańskiego prawa, ładu i porządku. Tak jak faszystowscy marines i wojsko okupują Wietnam w imię demokracji i mordują Wietnamczyków w imię amerykańskiego imperializmu, i dlatego stawia im czoło wietnamska armia wyzwoleńcza, tak samo wewnętrznym resortom siłowym oraz rasizmowi i uciskowi czoło stawia broń czarnej armii wyzwoleńczej, która wymierzy w tradycję Malcolma i wszystkich prawdziwych rewolucjonistów autentyczną sprawiedliwość. My jesteśmy rewolucyjną sprawiedliwością.

Cała władza dla ludu.

Sprawiedliwość

Składnia i pisownia trochę zgrzytały, ale Carney załapał sedno.

- Bojowo – stwierdził.
- Ktoś musiał to powiedzieć – odparła May. – Wietnam. Getto. To jedno i to samo.
- Władza ma widać pełne ręce roboty.
- To nie jest śmieszne – rzuciła i wyrwała mu gazetę.

– Ja się nie śmieję.

– Dostałeś bilety?

Carney się skrzywił.

– Mówiłem ci, że są wyprzedane, kochanie.

– Powiedziałeś, że załatwisz.

John podążył ołówkiem przez labirynt na odwrocie pudełka płatków śniadaniowych Honeycomb.

Następnej nocy nastąpił kolejny atak, tym razem udany. W sobotę rano Carney słuchał doniesień radiostacji 1010 WINS. *Cały świat przez całą dobę*. Dziennikarz wspomniał o domach Colonial Park przy Sto Pięćdziesiątej Dziewiątej. Carney miał klientów, którzy tam mieszkali; załatwiał im dostawy. W piątek zaraz po dziesiątej wieczorem funkcjonariusze Waverly Jones i Joseph Piagentini dostali w plecy z karabinu maszynowego, gdy wracali do radiowozu. Jones był czarny; został postrzelony dwukrotnie. Piagentini, biały policjant, oberwał osiem razy. Ciotka Millie miała akurat dyżur, kiedy przywieziono ich do szpitala na Harlemie. „Pieprzona jatka”. W pogrzebach wziął udział burmistrz Lindsay, dławiąc się łzami na wizji.

Nowojorska policja określiła swoją reakcję jako pokaz siły.

– To jedno wielkie jebane oblężenie – stwierdził mężczyzna stojący przed Carneyem w kolejce w Chock Full o’Nuts, płacąc za torbę pączków. – Byłem na wojnie, wiem, co mówię.

Prewencyjni obstawili rogi, a na ulice wyjechała nowa masa radiowozów, wspieranych przez nieoznakowane

jednostki. Nocne naloty na podejrzanych. Aktywiści i liderzy ruchu zgarniani według listy. Carneyowi przypominało to zamieszki z 1964 roku albo z 1968 po zastrzeleniu Kinga. Otwarto specjalną infolinię, na którą można było zadzwonić, jeśli się coś wiedziało.

Na początku policja zbagatelizowała związek z Armią Wyzwolenia Czarnych, ale to się zmieniło, jak zauważył Carney. W następnych dniach doszło do trzech kolejnych ataków na policjantów, ale nie śmiertelnych – ci sami sprawcy czy naśladowcy? Edward Kiernan, szef związku zawodowego policjantów, pokazał w telewizji podziurawioną kulami koszulę Piagentiniego i zwrócił się z gorącym apelem do wszystkich funkcjonariuszy, żeby na służbie nosili długą broń.

„W przypadku pistoletu szanse chybienia wynoszą jeden do pięciu – powiedział – a w przypadku broni długiej szansa trafienia to dziewięćdziesiąt dziewięć do jednego”.

To zabrzmiało jak zachęta do linczu. Percy Sutton powiedział mu, żeby przestał tak mówić. Suttona – dawniej lotnika z afroamerykańskiej 332. Grupy Myśliwskiej, adwokata Malcoma X, a obecnie burmistrza Manhattanu – Duży Mike skwitowałby teatralnym przewróceniem oczami.

„Tu jest Nowy Jork, nie Alabama – dodał Sutton. – Nie wymierzamy sprawiedliwości za pomocą karabinu”.

Mijały dni. Nie ustawały obławy. Nie ustawały syreny.

Pierwszy tydzień czerwca. Początek kolejnego skwarne go nowojorskiego lata. Klimatyzacja nad drzwiami wejściowymi rzeziła i kaszlała jak silnik miejskiego autobusu, ale spełniała swoją funkcję.

Pod urządzeniem było chłodno. Carney, Larry i pan Foster stali przy nim. Carney przypuszczał, że tłum po drugiej stronie ulicy składa się z różnych miejskich frakcji: sympatyków ruchu, młodych ludzi upojonych kontrkulturą, osobników o poglądach rewolucyjnych, którzy niechętnie patrzyli na strzelanie policjantom w plecy, oraz tych, którzy chcieli po prostu zająć się swoimi sprawami i nie mieszać się do niczego. Jak pan Charlie Foster, patrzący krzywym okiem na rozwój wypadków.

Na Morningside Avenue zajechał ciemnobrązowy plymouth. Zatrąbił, płosząc gapiów, wtoczył się na krawężnik i zaraz wysiadło z niego dwóch białych policjantów w cywilu. Zatrzymany mężczyzna pokręcił głową, gdy do niego krzyknęli.

– Świnie – powiedział Larry.

– Jak dorastałem, to za taką odzywkę można było zostać kaleką – upomniał go Foster.

– No to posterunkowi – poprawił się Larry.

Zakuli mężczyznę w kajdanki. Jeden z tajniaków chwycił go za szyję i pchnął do przodu. Kiedy Carney był dzieckiem, jego ojciec dorabiał w warsztacie Miracle Garage. Właściciel trzymał z tyłu szarego kundla, a kiedy pies gdzieś nabrudził, chwycił go za kark i wciskał mu w to pysk. Tak właśnie policjant złapał tego człowieka za szyję.

Przez chwilę wydawało się, że zatrzymany mężczyzna patrzy Carneyowi prosto w oczy, ale przy tym słońcu widziałby tylko odbicie własnej twarzy w witrynie sklepu. Takie było światło na Sto Dwudziestej Piątej o tej porze dnia – przeobrażało wszystko w lustra. Tajniacy wpełzły aresztowanego na tylne siedzenie. Plymouth bryknął i już go nie było. Radiowóz poszedł w jego ślady.

Wysoki brat w zamszowym kapeluszu z opadającym rondem zaczął skandować „Władza dla ludu!”, ale nikt tego nie podchwycił. Po odjeździe gliniarzy ludzi z tłumu nic już nie wiązało. Zaczęli poruszać nogami, jakby światło zmieniło się z czerwonego na zielone. Albo z białego na czarne, pomyślał Carney. Charlie Foster odchrząknął i włożył beret. Coś go zniechęciło do kupna fotela, o czym świadczyła mowa jego ciała.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – powiedział.

Larry zaprotestował. Carney zadekował się w gabinecie. To była skucha.

Minutę później Foster wyszedł na ulicę. Czasami Carney miał ochotę krzyknąć: „Kup to, do ciężkiej cholery! Zrób coś dla siebie!”. Niektórzy czarni mężczyźni z tego pokolenia byli mistrzami samowyrzeczeń, tysiące takich jak Charlie Foster odmawiały sobie wszystkiego, zanim jeszcze Carney się urodził. Zaczął sobie wyobrażać samotność czekającą na Fosterą w domu – potem się zreflektował. A może ten człowiek jest zadowolony z życia, nawet szczęśliwy, przez cały dzień podnosi wnuki jak sztangi? Carney nie wiedział nic o tych facetach, ich wyborach i konsekwencjach tych

wyborów. Wiedział tylko, że szukają wygodnego fotela. Od czasu do czasu wplatał osobiste lęki w uniwersalny stan rzeczy.

Zgarnął z biurka plik tabliczek z napisem *Przeceny z okazji Święta Poległych* i wrzucił je do kosza na śmieci. Wyprzedaż poszła jak z płatka, postanowił urządzać ją co rok. Kiedy usłyszał, że zmieniają nazwę Dnia Odznaczonych i przenoszą święto z trzydziestego maja na ostatni poniedziałek tego miesiąca, nie dostrzegł w tym żadnego sensu. Ale większe obroty przypadły mu do gustu. Trzydniowy weekend, czasu w bród, umysł zaczyna dumać o wyposażeniu domu. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zaaprobował coś, co zrobił rząd.

Nad biurkiem Carneya, na lewo od okna wychodzącego na salon sprzedaży, wisiało zdjęcie polaroidowe, które Rusty zrobił jemu, Elizabeth i dzieciom przed sklepem. Rok 1961. May miała cztery lata, John może dwa. Niezależnie od tego, kiedy wykonano zdjęcie, Elizabeth wyglądała tak samo: urocza i spokojna. To była miła sobota, cieszyli się sobą i pogodą. Usta May wykrzywione jak zawsze, gdy powściągała uśmiech.

Nie chciał zawieść córki, ale skończyły mu się pomysły. Zatelefonował do Larry'ego.

– Co jest, złotko?

Carney powiedział mu, że w przyszłym miesiącu The Jackson 5 grają w Madison Square Garden.

– Sensacja – rzucił Larry znużonym tonem znawcy.

Z poprzedniego wcielenia miał „przyjaciół w branży” i

od czasu do czasu, w chwilach zastoju w sklepie, sprzedawał Carneyowi, Rusty'emu i Marie nieprawdopodobne plotki. Ciekawostka o harmonijkarzu na trzecim albumie zespołu War albo autentyczne, słowo harcerza, rewelacje od dentysty Arethy Franklin.

– May wierci mi dziurę w brzuchu – dodał Carney.

Larry pokręcił głową.

– Gdybym mógł załatwić, sam bym poszedł.

Carney pukał do różnych drzwi. Klub Dumasa okazał się niewypałem. Wiedza o przygotowywanym prawodawstwie, o tym, kogo przekupić w downtown, o tym, jak wpływy zamieniają się w walutę, w żywą gotówkę – na tym ludzie z Dumasa znali się jak nikt inny. Nie byli jednak tacy bystrzy, gdy chodziło o bilety na The Jackson 5. Lamar Talbot, którego z nieznanymi dla Carneya powodów nazywano Czarnym Clarence'em Darrowem, reprezentował Madison Square Garden w procesie o spowodowanie śmiertelnego wypadku. Robotnik budowlany zginął podczas kładzenia fundamentów. Ten afroamerykański adwokat mógłby chyba wyprosić bilety od swojego dawnego klienta? Płonne nadzieje.

„Uratowałem im tyłek, a teraz patrz, jak mnie traktują”.

Carneyowi wryło się w pamięć, jak Kermit Wells przechwalał się, że Berry Gordy, założyciel Motown Records, jest jego bliskim krewnym. Przyparł go więc do ściany po degustacji szkockiej. Wells odparł, że Carney się przesłyszał; to przyjaciółka jego żony jest spokrewniona z Berryem Gordym, ale babki się pożarły, nie gadają ze sobą.

Poza tym „gdybym miał możliwość, zgarnąłbym bilety dla siebie”, dodał Kermit.

Teść Carneya, Leland Jones, poprawiał księgi rachunkowe przeróżnym prawnikom i menedżerom z branży rozrywkowej, a oni od dziesięcioleci załatwiali mu bilety w pierwszym rzędzie. Carney schował dumę do kieszeni i w następnej kolejności uderzył do niego. Przez wzgląd na May. Ilekroć słyszał ostatnio teścia, drżący tembr jego głosu wymownie świadczył o tym, jak bardzo upływał lat pomniejszył tego człowieka. Czy Carney kiedyś nim gardził? Takie emocje były w tym momencie daremne. Zapytał o kontakty w show-biznesie.

– Nie rozmawiałem z Albertem od dłuższego czasu – odpowiedział Leland. – A Lance Hollis umarł lata temu.

Ostatnio Carney bał się włączać radio, żeby któraś z cholernych piosenek The Jackson 5 nie przypomniała mu o porażce. Może o kimś zapomniał?

O Munsonie. Minęło trochę czasu.

Gdy dzwonił na 28. posterunek, zwykle zostawiał wiadomość. Bo Munson był gadułą. Tym razem ktoś odebrał po trzecim sygnale.

– Ej, widział ktoś Munsona? A kto mówi?

Kolejna syrena. Carney podał swoje nazwisko.

Munson podszedł do telefonu.

– Carney? – powtórzył, jakby próbował skojarzyć. Nagle zachrypiał: – Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Tak oto w okamgnieniu, jak na ulicy światło czerwone zmienia się na zielone, Carney wrócił do gry.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).